Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem. Cena 25 groszy

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy" Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II. WARSZAWA, DNIA 16 SIERPNIA 1924. Nr 49.

Rezolucje zjazdu Legjonistów.

Zjazdy związków weteranów wojny mają wszędzie i zawsze posmak emerytalno-patrjotyczny. Mówi się na nich o ojczyźnie i swojej dla niej zasługach, lecz więcej znacznie stawia się państwu wymagań w zakresie ułatwień, lub wprost zabezpieczenia znośnego bytowania.

Nie można się oczywiście temu dziwić, gdyż los przygniatającej większości tej kategorji obywateli jest pożałownia godny. Chodzi tylko o stwierdzenie faktu, że tak jest.

Uważne zaobserwowanie przebiegu 3-go zjazdu Legjonistów musi natomiast uderzyć brakiem cienia nawet tego pierwiastku gospodarczego. Nie wysunięto żadnych żądań tej kategorji, nie wybrano delegacji, któreby pukając od drzwi do drzwi ministrów wyjednywały ulgi i koncesje, słowem, jakgdyby legjonistom działo się najlepiej pod słońcem. Tymczasem wszystkim dobrze wiadomo iż tak nie jest, że przeciwnie, pod dachem bohaterów z pod Łowczówka, Kostiuchnówki, Rokitny i t. d. często gęsto gości niedostatek, który, gdyby państwo uczciwie dopełniło swych zobowiązań honorowych, nie powinienby istnieć.

Przyczyny tej jawnej pogardy dla interesów żołądka należy tedy upatrywać wyłącznie w specyficznem i wyjątkowem w naszych stosunkach napięciu idealizmu uczuć patrjotycznych wielkiej rodziny legjonowej.

Głęboko niezdrowej dewizie całego obozu „narodowego": „państwo wszystkim i wszystko od państwa", wychowującej

obywateli w przeświadczeniu, że państwo jest sklepikiem na którym każdy powinien co się da zarobić — przeciwstawia się właśnie, na polach bitew zachartowana, idea bezinteresownej, czystej służby publicznej, w szczęściu Polski zadośćuczynienia szukającej.

Nic nie ilustruje tej prawdy bardziej nad dwie zasadnicze rezolucje przez zjazd uchwalone. Pierwsza z nich w krótkich słowach mieści cały program palących reform wewnętrznych, stanowiących o zdrowiu społeczeństwa. „Na legjonistach — głosi rezolucja — i ich sympatykach ciąży obowiązek wytworzenia zdrowej opinji publicznej, którаby nie pozwalała na dalsze panoszenie się prywaty i sobkostwa, niebezpiecznego w naszem życiu państwowem i politycznem. Podobnie jak armja — niechaj na kadrówkach legjonowych wyrośnie zdolne do obrony państwa polskiego potężne zrzeszenie obywateli prawych, oddających przedewszystkiem pracę budowie demokratycznej Polski, zapewniającej wszystkim swoim obywatelom sprawiedliwość społeczną, narodowościową i wyznaniową, a stanowiącej w wielkiej rodzinie narodów czynnik postępu i spokoju".

W tych krótkich słowach zawarta jest cała najwyższa mądrość i tęsknota demokracji zachodnio-europejskiej: dążenia idealistów do restytucji cnót obywatelskich, i najtęższych umysłów politycznych ku utrwaleniu sczęścia pokoju przez wzniesienie ponad materjalne czynniki polityki, zasad sprawiedliwości powszechnej.

Druga rezolucja mówiąca o powrocie Marszałka Piłsudskiego do czynnego życia państwowego, przepojona jest troską o najbliższą przyszłość Polski, pozbawionej od półtora już omal roku sternika na miarę męża stanu. Dokąd płynie ten statek na którym każdy w swoim kącie coś robi, a często knuje, ale przy którego sterze igrają jeno wiatr i piana wzburzonej fali? — oto troska o której w dzień ani w nocy zapomnieć nie może obywatel, który nie zdążył zwyrodnieć i zobojętnieć, lub nałożyć na oczy różowych okularów głupiej pychy, że oto on sam za sternika wystarczy. Gdzież są te wielkości nadużywające samoreklamy, kiedy nie widać skutków ich politycznego genjuszu?

Gdy w tych warunkach odzywa się głos legjonistów „zwracający uwagę całego społeczeństwa, a zwłaszcza lewicy sejmowej na karygodne niewyzyskanie wielkich zdolności" Marszałka w pracy rządzenia państwem — przerasta on grono zjazdowe i reprezentuje nastroje myślowe olbrzymiej większości narodu.

Te dwie rezoluzje świadczą, że ideologja legjonowa nie tylko nie doznała uszczerbku w dziesięcioletniej walce z ponurą rzeczywistością, a przeciwnie, pogłębiona i dojrzała staje do walki, w której musi zwyciężyć.

W. Stpiczyński.

Uniwersytet ruski w Krakowie.

Pisma donoszą, że od początku roku szkolnego ma powstać uniwersytet ruski... w Krakowie. Prawda, że p. Miklaszewski przyzwyczaił nas do wielu dziwnych rzeczy, ale mimo to żadna z nich nie była tak dziwna, jak ten pomysł. Albowiem jeżeli w normalnych nawet czasach stworzenie uniwersytetu dla Ukraińców poza ich terytorjum byłoby dzikie, to w warunkach dzisiejszych, gdy zdobycie mieszkania w obcem mieście połączone jest z niezwykłemi trudnościami, zakrawa to na żart, a w każdym bądź razie jest stwierdzeniem, że się świadomie uniwersytet tworzy po to, ażeby nie mógł mieć słuchaczy.

Już niektóre z poprawek wniesionych do ustawy o języku w sądownictwie zostały w ten sposób skonstruowane, żeby praktycznie utrudnić korzystanie z przyznanych praw. Kraków (dlaczego nie Poznań zresztą), jako siedziba uniwersytetu ruskiego tej samej mądrości endeckiej jest wytworem. Mądrość ta jednak jest bardzo zawodna. Można stanąć na stanowisku, że mniejszościom nie należy robić żadnych ustępstw, i takie stanowisko, aczkolwiek z naszego punktu widzenia niepolityczne, da się obronić. Ale nie można, nie wolno prowadzić polityki ustępstw fikcyjnych. Nikomu bowiem się nimi oczu nie zamydli, rozgoryczenie zawiedzionych nadziei będzie jeszcze silniejsze, a co najważniejsze—zabija się zaufanie do własnej uczciwości.

Z kontrachentem, który dał pewne obietnice, ale z cichą nadzieją że uniemożliwi ich wyzyskanie, nikt pertraktować nie będzie. Szacherkami i kawałami kompromitują się ludzie prywatni — a cóż dopiero rząd, państwo, których egzystencja oparta jest na zaufaniu obywateli.

Dlatego też mamy nadzieję, że mimo wszystko niefortunny pomysł p. Miklaszewskiego zostanie pogrzebany i że uniwersytet ruski o ile powstanie, to powstanie tam, gdzie istnieje ucząca się młodzież ruska.

cep.

Wyzwanie bez odpowiedzi.

Nędza literatów, największych nawet mocarzy pióra, o których nie mówi się inaczej, jak akordami superlatywów, snuje się czarną nicią hańby poprzez bajecznie wzorzystą i przebogatą mozajkę polskiej twórczości literackiej.

Nie sięgając do przykładów odległych przypomnijmy tylko straszną nędzę ostatnich lat żywota Konopnickiej, niedostatek

żony ś. p. Prusa-Głowackiego, nioprawdopodobną skromność środków egzystencji Żeromskiego i Sieroszewskiego — pisarzy na których wydawcy ich porobili już i porobią w przyszłości znaczne fortuny, i w tej chwili zrozumiemy, iż stosunek wydawcy do pisarza oparty jest na niezdrowych zasadach.

Uprośćmy sobie to zjawisko, pozornie skomplikowane atmosferą tajemniczości, osłaniającej sztukę pisarską.

Mamy tu przecież do czynienia z dobrze znanemi nam stronami: pracodawcą i pracobiorcą.

Już na długo przed wojną, w różnych dziedzinach wytwórczości, obserwowaliśmy zjawisko stałego narastania zamożności pracodawcy, przy stabilizowanej nędzy pracobiorcy. Ten nienaturalny system, nadający kapitaliście przywilej bezkarnego eksploatowania ludzkiej siły roboczej na swoją osobistą korzyść, zrodził potrzebę organizacji pracowniczych do walki o poprawę bytu i okazało się, iż przy znacznie wyższych normach płac robocizny zysk fakrykanta bynajmniej nie doznaje uszczuplenia. Zjawisko to tak dalece uderzyło przemysłowców, że jeden z najwybitniejszych ich przedstawicieli, Henryk Ford, na podstawie długoletniej praktyki zdefinjował jako zasadę formułę, twierdzącą, iż skala dochodowości przedsiębiorstwa stoi w stosunku prostym do wysokości wynagrodzenia zatrudnionych w niem pracowników.

Pozostaje nam tedy postawić kropkę nad „i" dodając, że jeśli taki, a nie inny musi być stosunek przedsiębiorcy do zatrudnionej u siebie pracy fizycznej, to o ileż głębiej musi on obowiązywać w stosunku do pracy intellektualnej, a przedewszystkiem twórczej.

Ogień twórczy niestety nie ściga swoich wybrańców za biurkami praktykantów kancelaryjnych i w pieczeniarskich wędrówkach podsuniętych przez instynkt samozachowawczy — mało wzniosłe jest bohaterstwo głodowej śmierci. Przeciwnie, wymaga on dla roztoczenia swych wspaniałych barw i promieni dostatniego kominka i stale świeżego paliwa.

Jeśli więc przemysł wydawniczy, który oczywiście przeżywa aktualnie chwilowy kryzys, lecz zasadniczo jest niewątpliwie lukratywny, jeśli dał on w Polsce Gebethnerom, Wolffom, Mordkowiczom, Wende, Fiszerom i szeregu innym całkiem pokaźne fortuny, a nie potrafił zabezpieczyć pisarzom takiego właśnie dostatniego kominka podtrzymującego płomień talentu — zasady kalkulacji tego przemysłu są niezdrowe, i z uwagi na jego doniosłość w rozwoju kulturalnym narodu, wymagają interwencji publicznej.

Hasłem do takiej interwencji jest wyzwanie rzucone wydawcom przez Juljusza Kaden-Bandrowskiego na łamach *Wiadomości Literackich*, zbyte ostrożnym milczeniem przez wyzwanych.

Utalentowany pisarz stwierdza otwarcie: „stosunek wydawcy do pisarza jest u nas straszny, dziki, bezgranicznie bezwstydny i brutalny. To co się odbywa w formie wymiany handlowej między wydawcą a pisarzem, nie dzieje się już chyba w handlu, w żadnym przemyśle, nie znalazłoby już chyba miejsca nigdzie, chyba tylko może jeszcze w kolonjach przy zbieraniu kauczuku... Za tom prozy, gruby, gruby tom prozy, pisany razem z koniecznemi do niego studjami od półtora do dwóch lat, ma polski „literata" pół roku bardzo kusej egzystencji".

Przed pisarzem staje tedy pytanie — co robić, aby módz żyć?

„Prosta rzecz — odpowiada K. Bandrowski — pisać więcej. I tu zaczyna się fantastyczna niewola, karczowanie talentu, sprzedawanie na pniu, z szybkością stale przyspieszoną, sprowadzającą koniec twórczej siły. Zaczyna się wyrabianie dwóch, trzech książek na rok, norma niemożliwa, norma, którejby w tych warunkach nawet Zola nie podołał".

A teraz strona przeciwna — wydawca.

„Wydawca, o ile jest tylko wydawcą (nie ma własnej drukarni ani księgarni), kalkuluje książką tak, by po pokryciu wszystkich kosztów handlowych mieć od 50 do 100% zysku. O ile ma własną drukarnię i własną księgarnię, ma z książki na czysto, po pokryciu wszystkich kosztów handlowych, do 200% zysku. Autor otrzymuje połowę swoich kosztów handlowych. Cóż to znaczy? To nic innego tylko rujnowanie człowieka, nie zapłata, lecz łaskawy napiwek, — gdy przypomnimy, że księgarz od księgarza za sam komis bierze od książki 40% jej wartości".

Oto jest w najkrótszem przedstawieniu źródło fatalnej anomalji stosunku przemysłu wydawniczego do pisarza.

Ogólnie biorąc anomalja ta wyraża się w wątłym rozwoju twórczości literackiej, co często skłonni jesteśmy przypisywać brakowi talentów.

Talent jest rośliną niezmiernie subtelną i rozwijać się na piaskach nie będzie. Trzeba z wielką pieczołowitością stwarzać warunki, w których mogłyby swobodnie rozkwitać. Tych warunków u nas, niestety, nie było nigdy, i niema dzisiaj.

Dlatego też musimy się domagać od wydawców niezwłocznej rewizji stosunku do pisarza w myśl zasady, że jest on pierwszą a nie ostatnią pozycją w kalkulacji książki.

w. s.

Na marginesie dyskusji budżetowej.

Prace obu izb ustawodawczych nad budżetem państwa już ukończone. Uchwalony preliminarz ma poważne braki. Oparty jednak na sta-

łym mierniku, jakim jest złoty, stał się nowym krokiem naprzód ku sanacji chorych stosunków skarbowych. Po za sobą mamy już pierwszy etap uzdrowienia Skarbu, zakończony pomyślnie sanacją pieniądza. Udział społeczeństwa w tem historycznem dziele trwać musi dalej i dlatego koniecznem jest wyciągnięcie wniosku z ostatniej długotrwałej dyskusji budżetowej — jako wskazującego kierunek, którym ma iść dalsza praca zdrowego instynktu obywatelskiego. Zwrównoważenie niedoboru preliminarza jest chwilowe. Budżet nie ma dostatecznego pokrycia. Jedną trzecią dochodu stanowi podatek majątkowy — a więc dochód niestały. Nowe źródła wpływów, spotęgowanie siły podatkowej społeczeństwa, reforma administracji — muszą wypełnić groźną dla równowagi budżetowej lukę. Są to wszystko środki przyszłości. Niemniej tymczasowość preliminarza winna trwać jaknajkrócej. Sprzyjać temu może tylko szybkie, chętne, wytrwałe i dokładne wypełnianie zobowiązań wobec Skarbu. Już dziś jednak wychodzi na jaw nieuczciwa gra zainteresowanego podatkiem majątkowym wielkiego kapitału. Jest to równoznaczne z zakwestjonowaniem osiągniętych już rezultatów akcji sanacyjnej, a konsekwentne z dotychczasową nieobywatelską polityką finansową pewnych sfer obszarniczo-przemysłowych.

„W społeczeństwie naszym — mówiąc słowami p. Wł. Grabskiego — są dwa elementy b. rozmaite. Jeden element poczuwa się silnie do wszystkich obowiązków", jakie nań państwo nakłada, drugi jest tym, dla którego „najwyższym dobrem jest dobro własnej kieszeni". I tu wykładnikiem pierwszego będzie ofiarny wysiłek polskiego inteligenta i robotnika, którzy dowiedli, że są moralnie przygotowanie do zamierzonej sanacji. W ciężkich warunkach finansowych pokrywali wysokie podatki i lokowali ciężko wypracowany pieniądz w nieprocentujących „pożyczkach odrodzenia" i „miljonówkach". A gdy kredyt wewnętrzny państwa z winy potanienia tych papierów został podkopany, nie wahali się pokryć olbrzymiego, jak na swą osłabioną zdolność płatniczą, procentu akcji Banku Polskiego. Te fakty mówią same za siebie:

Element drugi, obszarniczo-przemysłowy, wespół z czynnikami czarnogiełdziarskiemi legitymował się przeważnie dla siebie korzystną, dla państwa i społeczeństwa nad wyraz szkodliwą, grą na inflacji i katastrofalnem położeniu gospodarczem. Swą wartość moralną zaprezentował stosunkiem do zapoczątkowanej sanacji. „Wzięły w niej udział oba elementy i ten wysiłek, jaki zrobiono jest b. cenny, ale szalenie nierównomierny". Złożyły się nań zrozumienie obowiązku u najmniej zamożnych warstw, dobrowolnie dzielących swe szczupłe fundusze za skarbem polskim, oraz niechętny czyn wielkiego kapitału, dokonany pod naciskiem opinji publicznej. Taż nierównomierność wystąpiła i dalej. Inteligent czy robotnik widzieli dla siebie nagrodę w postępującem dziele sanacji, obszarnik-przemysłowiec w przeważającej liczbie nie przestali, tytułem położonych „zasług", do dziś dnia uważać skarbu państwa za bezdenną szkatułę, z której mają nieograniczone prawo czerpać.

Dyskusja budżetowa oświetliła fakty będące doskonałą ilustracją „współdziałania" nieuczciwego elementu kapitału w dziedzinie finansowego odrodzenia Polski. Oto dane p. Wł. Grabskiego tyczące podatku majątkowego: Przedewszystkiem — zgodnie z wiedzą i sumieniem — zadeklarowano „majątek wszystkiego w wysokości 10 miljardów złp., podczas gdy statystycy z pośród największych obrońców tych lub innych stron potrafili udowodnić cyfrę 3, 4 i 5 razy większą". I niedość tego, że przed okiem skarbu ukryto conajmniej dwie trzecie podlegającej opodatkowaniu własności, podatek wyniesie tylko cząstkę tego co od sumy zgłoszonej winno być zapłacone. „I tak zamiast 120 milj. których na zasadzie statystyki, mamy prawo wymagać widzimy tylko 9 miljonów zadeklarowanych". A to próbki uczciwości poszczególnych środowisk przemysłowych. „Podatek majątkowy z jednego Górnego Śląska wynosi połowę tego co wreszcie Polski wykazał cały przemysł łódzki, wielkie fabryki warszawskie i cały handel polski". Te same zasługi zaobserwujemy przy podatku

obrotowym. „Pokazało się, że na zasadzie ogólnych danych statystycznych powinniśmy mieć podatek przemysłowy — obrotowy w wysokości minimum 200 milj. rocznie, gdyby wszyscy pisali to co jest prawdą. Tymczasem my ledwie może dociągniemy do 150 miljonów.

Dane powyższe na ścisłych obliczeniach oparte, wskazują dostatecznie, jak wielka zachodzi różnica między zdolnością, a chęcią płatniczą naszych sfer wielko-kapitalistycznych. Kult własnego interesu zabija dobre elementy konieczne w stosunkach podatnika do skarbu państwa i z czcicielami tego kultu „będziemy mieli wiele pracy, ażeby ich zaprzęgnąć i podporządkować interesom ogólnym skarbu“, a tem samem i Polski. Dyskusja budżetowa, która wykazała tyle słabych naszych stron gospodarczych, nakazuje rozpocząć tę pracę bezzwłocznie i to pod groźbą utraty dotychczasowych sanacyjnych zdobyczy.

n.

„Obóz zbrodni” wobec werdyktu krakowskiego.

Werdykt ławy przysięgłych, uwalniający od winy przelewu krwi bratniej na ulicach Krakowa w listopadzie r. ub. 58-miu dowolnie i przygodnie przez władze śledcze wybranych obywateli, znalazł szeroki i niebywały w tonie oddźwięk na łamach prasy wieczyście shańbionej przygotowywaniem i później apoteozowaniem zbrodni Eligjusza Niewiadomskiego.

Uczucie głębokiej pogardy rodzi widok tego ohydnego szaleństwa, z jakim rzucono się na wyrok sumienia sędziów przysięgłych i perfidji, z jaką zdemoralizowana hałastra demagogów zasłoniła się szybko mogiłami tragicznie poległych ułanów przed głosem sumienia narodowego, potępiającym w ich osobach rzeczywistych winowajców tragedji.

Rzućmy zasłonę na te sceny bezwstydu i rozpatrzmy objektywnie okoliczności w jakich rozegrały się wypadki krakowskie, za które sfery ówczesnie rządowe żądały od sędziów przysięgłych głów przywódców robotników.

Już akt oskarżenia przyznawał iż strajk listopadowy był skutkiem niesłychanego rozstroju sytuacji pieniężnej, wywołanego gwałtowną inflacją marki, niszczonej bez opamiętania przez p. Kucharskiego, wspomaganego przez Lewiatan. Podczas gdy zarobki określone w markach przeciętnie co dwa tygodnie, a w pewnych okresach czasu i szybciej, traciły akurat 50% wartości — trudno było mówić o idyllicznych nastrojach szerokich mas ludności, popadającej w coraz straszliwszą nędzę. Stąd ostrość walk zarobkowych i częstotliwość uciekania się do broni strajkowej.

Sztuka rządzenia nigdy nie wydawała nam się tak prostą, jak różnym nieukom pół-bufonom pół-kretynom zasiadającym wówczas na fotelach ministerjalnych na podstawie klucza partyjnego ułożonego pod dachem p. Hammerlinga. Wszakże

właśnie w owym okresie, gdy skutki rzadów tej miary indywiduów sięgnęły podstaw życia, trudności jej były szczególnie poważne.

Jak sobie rozwiązanie tych trudności wyobrażał rząd ówczesny?

W założeniu swojem był to rząd próby sił. Celem jego było doprowadzić na szerokiej arenie państwa do decydującej rozgrywki pomiędzy reprezentowanym przez siebie obozem, a demokracją, by zmodernizowaną metodą faszyzmu włoskiego, jak się spodziewano, zapewnić sobie na długi okres czasu dobrodziejstwa praw zwycięzcy. Stąd też rozdrażnienie mas, nagromadzanie się w psychice społeczeństwa materjału wybuchowego, było z jego stanowiska zjawiskiem pożądanem. Wzrastająca w tych warunkach łatwość sprowokowania wybuchu, obok nadziei złamania go „silną ręką“ pp. Kiernika i Szeptyckiego, była źródłem polityki pp. Witosa, Głąbińskiego, Korfantego i Dmowskiego.

Prowowokać i tłumić wybuch — oto dewiza panująca wówczas w pałacu Namiestnikowskim.

Orjentowanie się w tym stanie rzeczy pozwoli nam zrozumieć dlaczego wbrew radom i opinjom kompetentnych organów bezpieczeństwa w Krakowie, które — jak zeznawali ich przedstawiciele przed sądem — odradzały wszelkie zbyteczne środki gwałtu wobec strajkujących robotników, nie zdradzających bynajmniej tendencji rewolucyjnych — dlaczego wbrew tym miarodajnym opinjom p. Kiernik z gabinetu w Warszawie dyktował wojewodzie Gałeckiemu rozkazy: militaryzacji kolejarzy, stanu wyjątkowego, wyprowadzenia policji przeciwko botnikom oczekującym od swych przywódców informacji o stanie rokowań z rządem, wreszcie koncentracji i wyprowadzenia na ulicę wojska, oraz bombardowania miasta ogniem artylerji.

Gdy te niesłychane rozkazy doprowadziły do tragicznego przelewu krwi; gdy w straszliwym zamęcie i przerażeniu padli żołnierze i robotnicy; gdy pod ciężarem tej okrótnej tragedji padł wreszcie jej sprawca — rząd, rozpoczęły się groteskowe przygotowywania epilogu pamiętnego dnia przed obliczem trybunału sprawiedliwości.

Czy szukano winnych?

Czy postawiono w stan oskarżenia przedewszystkiem Kiernika i Gałeckiego obok domniemanych przywódców i uczestników samoobrony zaatakowanych robotników?

Czy postarano się o jednoczesne osądzenie postawionych w stan oskarżenia gen. Czikiela i innych wojskowych wykonawców niefortunnej „próby sił“?

Czy słowem zebrano wszystkie strony, w tragedji listopadowej uczestniczące, by sprawiedliwość mogła orzec, która z nich ponosi tutaj winę i winna ponieść karę?

Nic podobnego.

Wybrano sobie przygodnie przedstawicieli jednej strony i zażądano od sprawiedliwości, by złożyła na ich barki całą odpowiedzialność. Lecz sąd przysięgłych orzekł, że temu żądaniu zadość uczynić nie może.

Czyż to znaczy, że nie ma winowajców wypadków listopadowych?

Czy fakt, że przysięgli nie doprzyli się winy w przedstawionych im rzekomych „mordercach ułanów ks. Józefa“ znamion tego soczystego epitetu, upoważnia każdego szuję i chłystka endeckiego do wyciągania wniosków o bezkarności mordu, o sponiewieraniu autorytetu sprawiedliwości, o pohańbieniu mogił poległych ułanów i t. d... i t. d...

A jednak nie zawahano się nawet przed zohydzeniem, wydrwieniem, poniżeniem jednego z najszczytniejszych obowiązków obywatelskich, jakim jest pełen doniosłości i powagi mandat członka ławy przysięgłych. Po wyroku wołano o nazwiska przysięgłych, z jakąś ponurą groźbą, źle ukrytą pomiędzy wierszami. Piętnowano ich, oskarżano, odsądzono od czci i prawomyślności narodowej.

Wyczerpano słowem cały zapas nieczystości, któremi znaczą tak skwapliwie od sześciu omal lat pochód swojej „narodowej“ idei.

Lecz mimo wszystkie wysiłki nie zaciemniono, przeciwnie, w myśl starego przysłowia: „na złodzieju czapka gorze“ raczej uplastyczniono prawdę, iż winowajcą wypadków listopadowych w r. ub. jest „obóz zbrodni“.

W. S.

Stosunki w Hucie Pokoju.

W związku z artykułem naszym w nr. 47 Głosu Prawdy demaskującym antipaństwową działalność niemieckiego zarządu Huty Pokoju (Friedeushütte) w Nowym Bytomiu na G. Śląsku, podajemy poniższą rezolucję Związku Powstańców Górnośląskich, rozwijając ten sam temat. Rezolucja brzmi: „My zebrani Powstańcy i uchodźcy z Nowego Bytomia domagamy się stanowczo usunięcia dyrektora Wauera, który pracuje tylko na szkodę Spółki, załogi i Państwa Polskiego. Wymieniony nie jest dobrym fachowcem. Z jego winy przy redukcji sił roboczych wydalono dużo polaków — powstańców, zato zostawiono w niektórych oddziałach huty aż do 30% robotników i urzędników, Niemców obcokrajowców (nie mówiąc o miejscowych, zamieszkałych na polskim G. Śląsku. *P. R.*) Wauer jest hakatystą i tylko jako takiego narzucono go niepotrzebnie, jako wygodne narzędzie, na dyrektora huty ze strony Gliwic. Huta tutejsza ma dosyć sił fachowych lojalnych obywateli. *Przedewszystkiem żądamy choć jednego dyrektora Polaka.*

„Protestujemy również przeciwko dyrektorowi dr. Brennecke i dr. Malcher z Gliwic, narzuconym nam na kierujących spółką — wywierających swe wpływy na tutejsze zakłady. Panowie ci są Niemcami i mieszkają w Niemczech, ich punkt widzenia nie może, naszem zdaniem, iść równolegle z podźwignięciem przemysłu polskiego. Dzięki tym panom robotnicy, uchodźcy polscy, do dziś nie mają mieszkania, bo dobre chęci starej dy-

rekcji zdusili oni w zarodku. *Domagamy się usuniecie niemieckich wpływów na hutę tutejszą. Niech siedziba Spółki będzie rzeczywiście w Polsce, a nie tylko fikcyjnie.* Zastrzegamy się przeciwko importowaniu urzędników Niemców z Niemiec".

Kosztowny flirt p. Witosa z p. Tommassini.

B. poseł włoski w Warszawie p. Tommassini, dyplomata zręczny i wytrawny, potrafił doskonale wywiązać się z obowiązków reprezentacyjnych w pełnym tego słowa oficjalnem i prywatnem znaczeniu.

Nie darmo dzisiaj jadamy w całej Polsce wyborny makaron fabrykacji b. posła, nie darmo również rząd nasz zakupił we włoskiej firmie „Ansaldo" pewną ilość aeroplanów, częściowo montowanych w fabryce „Plage-Laśkiewicz", oraz silników, starych i wadliwych — świeżo tylko pomalowanych, które kosztują nas życie wielu dzielnych lotników.

Najlukratywniejszą wszakże tranzakcję udało się p. Tommassiniemu i jego dzielnemu attaché handlowemu p. Benotti Corvi przeprowadzić z rządem p. Witosa. Wówczas to zawarliśmy umowę z włoskiemi przemysłowcami na dostawę 150 wagonów luksusowych i 2000 węglarek, na ogólną sumę 400 miljonów lirów.

W obecnym okresie ostrego kryzysu w naszym przemyśle przypada właśnie termin płatności raty należności w sumie 100 miljonów lirów.

Nasze własne fabryki lokomotyw (oczywiście i węglarek) jak Cegielski, Chrzanów i Parowóz prawie że są nieczynne, gdyż obstalunki rządowe wędrują po za granice państwa; bezrobocie z tego powodu wzrasta i zaostrza ogólny kryzys, a pieniądze najspokojniej przelewają się z polskiej kieszeni do włoskiej — za fabrykaty, które mogą być doskonale wyprodukowane na miejscu.

To są horrenda od jakich roi się w dziedzinie państwowej gospodarki materjalnej, a które skutecznie utrącają każdą myśl sanacyjną uwzględniającą interes państwa i społeczeństwa, nie zaś kaprysy dygnitarzy zainteresowanych politycznie czy materjalnie w popieraniu swych ulubieńców lub przyjaciół. Tam gdzie to niema żadnego sensu wyrzuca się olbrzymie sumy na zabawę różnych amatorów w budowę nowych gałęzi przemysłu, tam gdzie należy poprzeć już istnieją warsztaty, popiera się obce.

To jest haos na dnie którego spoczywa, jako sprężyna, indolencja i korupcja, z któremi czas najwyższy rozpocząć śmiertelną walkę.

„...Umiejętne wyzyskiwanie wpływów na Mikołaja II“.

Zacięty atak endecji w osobie redaktora *Gazety Warszawskiej*, Zygmunta Wasilewskiego, na Aleksandra Lednickiego, wytoczony na łamach prasy i na forum sądu, w sferach politycznych nie pozostawiał wątpliwości co do swego istotnego celu. Rzecz prosta iż nie chodziło tutaj o utrącenie Lednickiego, jako jednostki; że nie wierzono w stawiany mu zarzut „zdrady głónej“, o którym już w czasie procesu nie wspominano w prasie partyjnej, a po jego ukończeniu rzucono wyraźnie hasło: „odrzućmy zarzut zdrady“; że słowem cel tej całej kampanji znacznie przerastał porachunki z jednostką i sięgał całego antiendeckiego obozu politycznego.

Narodowa Demokracja weszła pod dach polski z obfitym bagażem hańbiących dokumentów niewybrednego lokajstwa, uprawianego względem Rosji w ostatnim dziesięcioleciu przedwojennem i pierwszych, do rewolucyjnych, latach wojny. Rzecz prosta, że pozbycie się tego kłopodliwego bagażu było, od pierwszej chwili zaistnienia Polski, jako państwa niepodległego, jednym z najważniejszych kłopotów mężów późniejszej ósemki. Jeżeli nie przed oczyma współczesnych, to już wobec historji należało koniecznie stanąć w niezaplamionej todze katonów idei „narodowej“, jedynie z traktatem Wersalskim w ręku. Cuchnący bagaż zaś trzeba było za wszelką cenę podrzucić stronie przeciwnej.

Ten iście genjalny plan wprawdzie nie mógł się udać, a grono katonów powiększył w międzyczasie Eligjusz Niewiadomski, nadając mu zdecydowanie jasny charakter — nie mniej próba jego realizacji podjęta jeszcze przed pięciu laty rozwija się dzisiaj z całym poświęceniem i pasją inicjatorów.

Sprowokowanie w najostrzejszej formie dyskusji na temat polityki polskiego społeczeństwa względem Rosji w dobie wojny, z zapewnieniem sobie stanowiska strony atakującej, dającego po części możność wydawania sądu i unikania rozstrząsań nad swojemi czynami — było dla Narodowej Demokracji koniecznością taktyczną, przed którą się nie cofnęła.

Zaatakowano Lednickiego, jako głowę Komitetu Demokratycznego Polskiego w Rosji, ale już z przygotowań do procesu sądowego było widoczne, iż chodzi tu o rozprawę z samym Komitetem; że wciągnięto w orbitę rozpraw i usiłowano zohydzić wszystkie wybitniejsze jednostki lewicowe, w Rosji działające. Gdy zaś pod koniec rozpraw sądowych wyciągnięto z ukrycia mumję Romana Dmowskiego, charakter gry był całkowicie jasny.

Bez zdziwienia już przeczytaliśmy następnego dnia po ukończeniu procesu pierwszy odcinek romansu p. Romana p. t.

„Jak odbudowano Polskę?“ i przyjęliśmy do wiadomość, że oskarżony Zygmunt Wasilewski przygotowuje „dzieło“ polityczne z powodu procesu. Atak Don Kichotów na wiatraki rozpoczął się.

Jak odbudowano Polskę — jeszcześmy się w zupełności nie dowiedzieli. Natomiast „dzieło“ „prymiernawo redaktora“ pod szumnym tytułem: „Jak przeszkadzano odbudowaniu Polski“, poszło już w szeroki świat, potwierdzając ogólną swą tendencją nasz punkt widzenia na cel procesu ze stanowiska Narodowej Demokracji.

Już w poprzednim artykule wskazaliśmy na główną rewelację tego przeraźliwie nudnego ględzenia wyrażającą się w jednym krótkim zdaniu określającem zasługi Komitetu Narodowego. Powiedziano o nim: „Nie kreślimy tutaj dziejów sprawy polskiej, mozolnie przez Komitet Narodowy na jaw wydobywanej. *Zdziałał on wiele*, oswajając z nią sfery oficjalne rosyjskie *przez umiejętne wyzyskiwanie wpływów na Mikołaja II*“.

W ścisłym związku z tą rewelacją historyczną stoi teza p. Dmowskiego wypowiedziana przed sądem, a w „dziele“ oczywiście również uwieczniona, która brzmi, jak następuje: „Ja zawsze widziałem pana Lednickiego, jako kandydata na gubernatora Polski z ramienia liberalnej Rosji“.

Nie zamierzamy, rzecz prosła, podejmować dyskusji na temat: czy Lednicki chciał lub nie chciał być „gubernatorem Polski z ramienia liberalnaj Rosji“, gdyż każda teza tej natury wymaga poparcia materjałem historycznym, którego istnienia p. Dmowski nie zdradził. Natomiast dzięki prof. Askenazemu podany został do wiadomości publicznej materjał historyczny *) przedstawiający zagadnienie gubernatorstwa w Polsce z ramienia Rosji i wpływów Komitetu Narodowego na Mikołaja II we właściwem świetle.

Otóż nie Lednicki a „Wielopolski wystosował do W. ks. Mikołaja, Engałyczewa i Goremykina, zakomunikowaną również carowi, „zapiskę“, Warszawa 10 maja 1915, gdzie, z entuzjastycznem odwołaniem się do odezwy sierpniowej (Mikołaja Mikołajewicza), proponował jej rozwinięcie w 6 ogólnych punktach (prawodawstwo miejscowe, *namiestnik*, język polski, szkoły, dopuszczanie Polaków do urzędów, folgi dla Kościoła katol.), przyczem osobno w piśmie do Goremykina, 11 maja, prosił „prizwat' k razrabotkie projektirujemych dlia Carstwa Pol. reform“ przedstawicieli i ekspertów polskich. Wobec tego, pod wpływem nadto dokonywającej się w ciągu maja po przełomie frontowym gorlickim katastrofy wojennej rosyjskiej, Goremykin za zezwoleniem carskiem urządził pierwszą jednorazową naradę „celem umożliwienia przedstawicielom ludności

*) *Uwagi — prof. Szymon Askenazy.* Nakładem księgarni E. Wende i Ska. Warszawa, Krakowskie Przedmieście № 9.

polskiej Król. Pol. wyrażenia swych pragnień *względem przyszłego ustroju kraju polskiego"*. Narada odbyła się w Petersb. 3 czerwca 1915 r. pod przewodnictwem Goremykina, przy udziale Makłakowa, Engałyczewa i nowego ministra ośw. Ignatiewa, oraz 7 Polaków: Dmowskiego, Dobieckiego, Dymszy, Wł. Grabskiego, Harusewicza, Szebeki i Z. Wielopolskiego. Wielopolski uzasadniał swą poprzednią zapiskę i odczytał drugą, proponującą utworzenie *Komisji polsko-rosyjskiej dla szczegółowego opracowania przyszłego zarządu Król. Pol.* Szebeko, wysławiając historyczną doniosłość odezwy wielkoksiążęcej, którą tylko „wrogowie Rosji usiłowali przedstawić jako manewr polityczno-strategiczny" i wskazując płynące z niej reformy, niepytany podniósł samorzutnie arcydrażliwą kwestję, *„udowletworiat li polskij narod namieczennyja reformy i nie budet li on stremit'sja i wpred k połnoj politiczeskoj obosoblennosti?"* i złożył uroczyste zapewnienie, iż o niczem podobnem mowy być nie może; ...w „buduszczej objedninionnoj pod skipetrom Russkawo Caria Polsze... swiaź Polszi s russkoju gosudarstwiennostju byłaby wo mnogo raz silnieje, kak wsliedstwie nalicznosti plemiennawo rodstwa, tak i w siłu błagoprijatnych ekonomiczeskich usłowij". Dmowski, podnosząc śmiertelną dla Polski groźbę germanizacji, wobec której „jedinstwiennoje spasienje polaków w moguszczestwie Rosji", wskazywał konieczność szerokiej *autonomji*, jako niezbędnego warunku, aby Polska mogła wypełnić „swoj istoriczeskij dołg po otnoszenju k siebie samoj, k Rossii i ko wsiemu Sławianstwu".

Powyższy przebieg „sowieszczanja" z dnia 3 czerwca 1915 r. ujawnia w całej pełni ten fakt historyczny, że o stanowisko gubernatora Polski z ramienia Rosji ubiegał się nie Aleksander Lednicki, czy ktokolwiek bądź z obozu, do którego w Rosji należał, lecz właśnie p. Roman Dmowski wraz z najbliższemi przyjaciółmi, wysuwając otwarcie kwestję „namiestnika" dla autonomicznego Król. Pol. i „istoriczeskawo dołga po otnoszeniu k Rossii", wyrażając wręcz niepokój, „udowletworiat li polskij narod namieczennyja reformy i nie budet li on stremit'sja i wpred k połnoj politiczeskoj obosoblennosti" i uspakajając zaraz swoje carosławne sumienie faktem, że „austrjaccy Polacy" w Galicji, mimo niepomyślnych warunków ekonomicznych, wiernie służyli Habsburgom „za sowiest', i k politiczeskoj obosoblennosti nie stremiliś".

Może p. Roman Dmowski, nie w sali sądowej, gdzie blagierskiego tupetu nie miał możności nikt przerwać przypomnieniem faktów historycznych, lecz obecnie, kiedy kłamstwo nie ujdzie bez karnie, zechce odpowiedzić na pytanie: kto chciał być gubernatorem Polski z ramienia Rosji, kto wszelkiemi możliwemi drogami, aż do zaprzeczenia osobistego poczucia godności narodowej parł do zrealizowania tego planu?

Jeżeli przedstawi dokumenty stwierdzające że dążył do tego ktoś z przeciwnego mu obozu politycznego, historja mu przyzna, że miał konkurenta.

Lecz na razie, dopóki po za brutalnym oszczerstwem, z niczem w tej dziedzinie wystąpić nie może, niechaj siedzi potulnie z dokumentami hańby swego życia w zaciśniętej dłoni, i niechaj podziwia dobrotliwość tego narodu, który mu mimo wszystko pozwala spokojnie spędzać resztkę dni żywota, i to w dostatku, podczas gdy weterani walk niepodległościowych wymierają w tragicznej nędzy z głodu.

P. Z. Wasilewski sprowokował dyskusję na temat „umiejętnego wyzyskiwania — przez Dmowskiego i jego przyjaciół— na Mikołaja II“.

Oto są te wpływy,

A zapuścimy się w ich treść nieco głębiej, by wykazać jaka może być wartość etyczno-moralna ludzi, którzy mogą się nimi szczycić.

W. Stpiczyński.

„Frankopol“ prostuje.

Francusko-Polskie Zakłady Samochodowe i Lotnicze
Sp. Akc.

Warszawa, dnia 8 sierpnia 1924 r.

Do
Redakcji „Głosu Prawdy“
w miejscu
ul. Szpitalna 1.

Na podstawie art. 22 Przepisów Prasowych z dn. 17. II. 1919 r. (Dz. Praw z 1919 r. Nr. 14 poz. 186), upraszamy o umieszczenie w najbliższym numerze tygodnika „Głos Prawdy“ (na tem samem miejscu i takiemi samemi czcionkami, co poniżej wymieniony artykuł) sprostowania wiadomości, dotyczących naszego Towarzystwa, zawartych w numerze 45 „Głosu Prawdy“ z dn. 19 lipca r. b. w artykule „Afera Frankopolu w świetle interesów Skarbu i M. S. Wojskowych“.

Ograniczamy sie do sprostowania najistotniejszych niedokładności:

1) Wbrew twierdzeniu „Głosu Prawdy“, nie otrzymaliśmy placu pod fabrykę od Rządu. Plac ten (na Okęciu pod Warszawą), jak to jest jawne z hipoteki, nigdy do Rządu nie należał i został przez naszą Spółkę nabyty od osób prywatnych pp. Bagniewskich.

2) Wbrew twierdzeniu „Głosu Prawdy“, nie otrzymaliśmy nietylko 12 do 14 miljonów franków tytułem prowizji od zamówień poczynionych przez M. S. Wojsk. w fabryce „Lorraine Dietrich i innych“, ale wogóle od nikogo żadnej kwoty tytułem prowizji nie otrzymaliśmy.

3) Wbrew twierdzeniu „Głosu Prawdy“, żadnej pożyczki 5 miljonów franków od Ministerstwa Spraw Wojskowych nie otrzymaliśmy.

4) Spółkę nie łączy żaden stosunek z zakładami przemysłowemi „Enzesfeld Hirtenberg“, ani z jakimikolwiek firmami lub kapitałami nie-

mieckimi lub austrjackimi. Listę naszych akcjonarjuszy doręczyliśmy Ministerstwu Spr. Wojsk. Wśród naszych akcjonarjuszy niema ani jednego obywatela niemieckiego lub austrjackiego. P. Juljusz Leski posiada około 3% naszego kapitału akcyjnego.

Z szacunkiem
Francusko-Polskie Zakłady
Samochodowe & Lotnicze S. A.
Srzednicki

I „Fitzner & Gamper"...

Rada Zarządzająca Towarzystwa
Zakładów Kotlarskich i Mechanicznych
„W. Fitzner i K. Gamper"
Sp. Akc.

Warszawa, d. 5 sierpnia 1924 r.

Do
Wielmożnego Pana
Redaktora „Głosu Prawdy"
w Warszawie.

Na podstawie art. 23 Dekretu o przepisach prasowych z dnia 7. II. 1919 r. upraszamy o umieszczenie w najbliższym numerze „Głosu Prawdy" następujące sprostowania:

W Nr. 45 „Głosu Prawdy" z dn. 19 z. m. w artykule „Afera Frankopolu" jest wzmianka, jakoby nasza firma była „niemiecka". Wiadomość ta nie odpowiada rzeczywistości. Jeden z założycieli firmy W. Fitzner wystąpił z niej około 40 lat temu, drugi zaś obywatel szwajcarski, K. Gamper umarł w 1900 roku. Od tego czasu przeszło $^3/_4$ akcji Spółki jest w rękach polskich. Nikt z naszego personelu, żaden z członków Rady Zarządzającej, Dyrekcji i t. p. nie jest Niemcem, ani obywatelem niemieckim.

Z poważaniem
Rada Zarządzająca Spółki Akcyjnej
Budowy Kotłów Parowych i Maszyn
„W. Fitzner i K. Gamper"
(podpisy nieczytelne)

Wydawnictwa nadesłane.

INTERPRETACJA LEKTURY W SZKOLE, JAKO KSZTAŁCENIE INTUICJI BEZPOŚREDNIEGO PRZEŻYCIA I WYOBRAŹNI TWÓRCZEJ — *Bronisław Poletur*, szkice koncepcji metodycznej, str. 16. Wydaw. „Ogniwa" organu Związku Nauczycielstw Polskich Szkół Średnich.

WŁADYSŁAW GRABSKI I SANACJA SKARBU POLSKIEGO — *Politicus*, str. 44. Dom Wydawniczy Franciszek Głowiński i S-ka Lublin, 1924.

PANI — miesięcznik artystyczny Nr. 6—7. Szata zewnętrzna pisma, dzięki konsekwentnej pracy kierownictwa artystycznego, na poziomie europejskim. Pod tym względem jest on chlubą polskiego przemysłu wydawniczego, w znacznaj mierze salwując jego honor wobec kulturalnego

Zachodu. Numer ostatni zdobi okładka oraz rysunki w tekście kompozycji uzdolnionego młodego malarza J. Zaruby, wykazujące kulturę, smak i epatującą indywidualność artysty. Ponadto obfitość aktualnych fotografji, obok kącika poświęconego architekturze i gwoździa numeru — korowodu kandydatek do nagród w konkursie piękności, nadają *Pani* szatę barwną i interesującą.

W dziale literackim, obok wypróbowanej jakości owoców pióra Kornela Makuszyńskiego, Bronisławy Ostrowskiej, Jana Lemańskiego, Ireny Tuwim, Zygmunta Różyckiego i Wacława Huzarskiego (sprawozdanie z ciekawej wystawy Rytmu) — sensacja... Zofja Stryjeńska jako literatka. Czarująca malarka posiada, okazuje się, iskrę pisarską. Ta rewelacja nadaje niemało smaku ostatniemu zeszytowi Pani.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty,** kwartalnie **3 złote.** Zagranicą kwartalnie **5 złotych.**

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. **3288.**

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA“, Moniuszki 11.